

Henryk Cederbaum

Adwokat Przysięgły.

ZE WSPOMNIENÍ

KANDYDATA.



WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

1916.



*P. Bolewawowi Koskowskemu w
miejscu nowego prezydenta do
autografu*

Henryk Cederbaum

Adwokat Przysięgły.

ZE WSPOMNIENÍ

KANDYDATA.

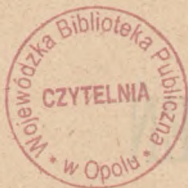


**Kolekcja
Emila Kornasia**

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETONERA I WOLFFA

1916.



CM WER 313507

Warszawa. – Druk Noskowskiego, Warecka 15.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr /2011/ CM

I.

Po otrzymaniu dyplomu uniwersyteckiego wstąpiłem na aplikację do sądu okręgowego, gdzie zostałem „kandydatem do posad sądowych.”

Wydelegowano mnie do drugiego wydziału karnego, któremu przewodniczył w charakterze wiceprezesa Andriej Tichonowicz Timanowski.

Był to człowiek zdolny, gładki w obejściu, przystojny, ustosunkowany, a gdy mu na tem zależało, prawdziwy „charmeur.” Pod pokostem swoistego liberalizmu rosyjskiego, polegającego na wygłaszaniu zdań i frazesów, pod którymi mógłby podpisać się najczernerwieńszy radykał i najczarniejszy anarchista, kryła się natura drapieżna, dzika, a równocześnie umiejająca wyczuć, skąd i jaki wiatr wieje w „górných” sferach i pokorna, a potulna względem wszystkich rozkazów sądenia w tym lub innym kierunku. Gdy Bartenjew zamordował Wisnowską, Timanowski tak dalece umiał zrozumieć i odczuć duszę ziomka-zabójcy, że nazywał siebie „bartenistą.” Jakby umyślnie dla niego wypowiedziano zdanie: „grattez le Russe et vous trouverez le Tartare.”

Przytem amator sztuk pięknych, trochę literat, a w chwilach przygód romantycznych, na których nigdy mu nie zbywało, nawet poeta, chętnie mów pięknych słuchał i dawał się ukołysać muzyce słowa.

Kiedyś, po wysłuchaniu znakomitej obrony Peplowskiego, dałem wyraz zachwytowi swemu w sali narad.

Timanowskij, który Peplowskiego nie lubił głównie za to, że zaznaczał on mocno stanowisko narodo-
we polskie, przerwał mi.

— A wie pan, komu Peplowski ma głównie sławę swą do zawdzięczenia?

— *Komu*, nie wiem — odrzekłem — ale chyba talentowi swemu i pracy. Przecież to mówca z Bo-
żej łaski.

— Tak się to mówi... Są zdolniejsi od niego... A Peplowski *mnie* sławę swą winien. Gdybym był nie pozwolił mu mówić w sprawie Anca, nie stałby się „wielkim...”

Był Timanowskij przede wszystkim „diejacielem” i dzięki podszeptom jego nie jeden młody prawnik—
polak, wyjechał po karierę do Rosji, gdzie — jak kusił prezes — o awanse, zaszczyty i „kresty” tak łatwo. Wielu wróciło ze starganem zdrowiem, przeklinając chwilę, gdy ruszyli na wyprawę po złote ru-
no, a iluż mniej odpornych zostało nad Wołgą i Ka-
mą, tracąc myśl, duszę, uczucie i uczucie polskie?

Zdaniem Timanowskiego, Polska powinna była zostać kolonią moskiewską, bo w Rosji jest wszakże dość miejsca, by Polaków ulokować i w oceanie pra-
wosławnym „rozpuścić.”

Z powodu jakichś nieporozumień z ministrem
sprawiedliwości, Andrej Tichonowicz podał się do dy-

misji, by zająć fotel redakcyjny w „Dzienniku Warszawskim.” Stanowisko to dawało mu znaczne dochody, których część dużą użył, by motylem brylantowym dodać blasku pewnej gwiazdzie spadającej.

Obok Timanowskiego funkcje sędziowskie w wydziale drugim pełnili:

Lebiedjew, z dyplomu i powołania lekarz, który dzięki tylko w Rosji możliwym metamorfozom, zamiast recept, stosować zaczął artykuły kodeksu karnego, człowiek w gruncie uczciwy, ale cham bez kultury i ogłady;

Polakow, mały pękaty pijaczyna, którego przy mrużone, jak gdyby w alkoholu skąpane ślepki, śmiały się rozkosznie, ilekroć mógł wydać wyrok skazujący Polaka, choćby najskromniejsze stanowisko społeczne zajmującego lub gdy zdarzyła mu się okazja zamanifestowania nienawiści swej do wszystkiego, co polskie;

wreszcie Grünwald, figurka nader pocieszna, wedle ostatniej mody ubrana i uczesana, z monoklem w oku, a jak każda mierność wielkością swą przejęta. Twarz przytem małpia, zła, o szczękach wystających i nosie na kształt i obraz kartofla sformowanym. Czy dzięki wyglądowi nieszczęśliwemu, czy mniej fortunnemu nazwisku, uważał on za swój obowiązek popisywać się przy każdej sposobności wojującym swem prawo — i carosławiem, a oprócz tego okazywać najzarliwszy antysemityzm. Biada synowi Izraela, który miał sprawę, gdy na posiedzeniu prezydował Grünwald, bo nikt lepiej od niego nie umiał urządzać pogromów żydowskich w imię sprawiedliwości rosyjskiej.

Na tem tle zdarzył się też zabawny epizod.

Na jakiejś par excellence żydowskiej sprawie o fałsz, czy oszustwo, sala przepelniona była tłumem współwyznawców oskarżonego. Swoim zwyczajem szwargotali oni bez przerwy i uczuciom swym wybuchowym folgę dawali przez cmokania i okrzyki. Pomimo napomnień i dzwonka prezydjalnego gwałt nie ustawał, aż wreszcie do pasji doprowadzony Grünwald, który, przy całej swej krasie tę jeszcze posiadał zaletę, że nie wymawiał kilku liter alfabetu, woła wielkim głosem:

— Razsylnyj, dat' mnie etawo zyda!... Wot etawo ryzawo na wtarój skamiejkie!...

(Woźny, dać mi tego *syda*... Tego rudego na drugiej ławce).

Cisza zaległa, słyhać szamotanie się, a po chwili mały, trzęsący się ze strachu żydek staje przed obliczem trzęsącego się ze złości prezydującego.

— Kak twoja familja?! — krzyczy Grünwald.

A na to żydek wśród skupienia ogólnego, głosem omdlewającym odpowiada:

— Grünwald...

Po chwili grozy nastąpił szalony wybuch wesołości. Sędziowie, prokurator, adwokaci, sekretarz nie mogli powstrzymać się od głośnego śmiechu.

Grünwald pobladł, poczerwieniał i ratując sytuację, zawołał na przerażonego tem wszystkim judejczyka:

— Pasoł won!

Historja o tym „blamażu” stała się głośna w sądzie.

W takim otoczeniu, wśród najniekorzystniejszych warunków żyć musiał, pracować i działać jeszcze jeden sędzia drugiego wydziału, ś. p. Szczepan Dramiński.

Był to starzec nie tyle wiekiem ile przejściami życiowymi stargany, o długich siwych włosach, pięknej typowej polskiej twarzy i jasnych niebieskich oczach, z których tyleż rozumu co i dobroci na świat patrzyło. Chodził zawsze w jednym mocno nadszarpanym kubraczku, a podpierał się kijem z jakiejś gałęzi własnoręcznie wyciosanym.

Kiedym zainstalował się w wydziale, koledzy opowiedzieli mi dużo ciekawych szczegółów o panu Szczepanie, o sile woli jego, o uczuciach, jakie żywił dla Moskali i o utarczkach, jakie codziennie niemal staczać z nimi musiał.

Przed reformą z roku 1876 był Dramiński referentem przy X Departamencie Senatu, a po ukonstytuowaniu sądownictwa rosyjskiego — spadł z etatu. Po pewnym czasie dopiero i po burzliwej rozmowie, którą miał z naczelnym prezesem Izby Sądowej, senatorem Gerardem, otrzymał nominację na sędziego Sądu Okręgowego w Warszawie i na tem stanowisku pozostał do śmierci.

Koledzy—Rosjanie rozmyślnie drażnili staruszka, który jednakże nie pozostawał dłużnym odpowiedzi, a nieraz ze stanowiska obronnego przechodził w zaczepne.

Do obowiązków siedzącego na sesji sekretarza, którego funkcje często pełniłem, należało między innymi wypełnianie blankietów „rezolucji” przez wpisywanie nazwisk sędziów, biorących udział w rozstrzygnięciu spraw.

Dramiński wymagał, ażeby nazwisko jego w tekście rosyjskim pisane było przez „znak miękki” po literze „n” i z końcówem „i” dwupalcowem, a oburzał się, gdy ktoś pisał go „Draminskij.”

— Ja nie z kija pochodzę, bratku — mawiał.

Z tego powodu miałem nawet przejście z prezesem. Bo Timanowskij spostrzegłszy kiedyś w jaki sposób nazwisko p. Szczepana wpisałem, zażądał, ażebym na przyszłość pisał „po ruski.”

Kiedyś wracałem z kadencji sądowej we Włocławku. Jechaliśmy wszyscy w jednym z tych dawnych wagonów kolejowych klasy trzeciej, w których z końca w koniec przejść można było przeskakując przez ławki.

Polakow, który na każdej stacji wychodził na „kieliszeczek,” powróciwszy z wyprawy, zajął inne miejsce, niż poprzednio, i poprosił któregoś z nas, ażeby mu dał jego „pałkę,” pozostawioną w kącie.

Usłyszał to Dramiński i zrobił głośną uwagę po polsku:

— U nas to tylko zbójce chodzą z pałkami, a u nich to każdy Moskał ma pałkę..

Na takich utarczkach podjazdowych trawił siły swe i zdrowie poczciwy p. Szczepan. Były to poważnie drobiazgi i bagatele, na które się rozpraszał, ale dzięki nim zajął wśród Moskali pozycję wyjątkową. Drażniono go często, ale bano się zawsze.

Znaną była powszechnie rozmowa Dramińskiego z podprokuratorem Rieznikowym na temat postępowania karnego, wprowadzonego do Królestwa z całością reformy sądowej. Było to na jakiejś trudnej — pod względem proceduralnym — sprawie. Podczas przerwy posiedzenia Rieznikow powiada:

— A co, Stiepan Iwanowicz, powiedz pan szczerze, czy przy dawnej waszej ordynacji dalibyście radę z takim, jak ten, procesem?... Przyznaj pan, że procedura nasza jest doskonała.

Dramiński, jak to zwykle czynił, podniósł głowę, utopił rękę w rozwichrzonych włosach i spojrzał prosto w oczy prokuratorowi:

— Tak, dobra jest wasza procedura, dobra niewątpliwie, ale... Czy lubisz pan wino szampańskie?

Rieznikow stropił się.

— Cóż ma jedno do drugiego? Naturalnie, że szampana lubię.

— A piłybyś, gdyby podano go panu w nocniku? To samo i z waszem prawem. Procedura dobra, ale kto i jak ją nam podaje!...

Czyż można wyobrazić sobie trafniejsze i dosadniejsze określenie sytuacji?

Innym razem, gdy kanclerz żelazny w parlamencie niemieckim dowodził, że Polacy mają zawsze do dyspozycji drugą ojczyznę — Monte Carlo, do której ich też łaskawie wysyłał, Timanowskij nie posiadał się z radości.

— Jak on was zna, jakże on duszę waszą leką a płochą zrozumieć potrafił! — mówił każdemu, kogo spotkał.

Dramiński oburzył się głęboko.

— Wy będziecie sędzić o duszy narodu, wy bezduszni wykonawcy cudzych pomysłów, wy wilki drapieżne na ziemię naszą posłane, by krew żłopać z otwartych ran narodu od lat stu męczonogo... Gryźcie, rozbijajcie, kradnijcie, bo to jest zadanie i przeznaczenie wasze, ale od duszy narodu — wara!

Staruszek uniósł się i gotów był dać prezesow nauzkę jeszcze mocniejszą, ale Timanowski wycofał się szybko i na odchodnym rzucił:

— Wyżywszy iz uma starik!... (Zwarjowany stary).

Określenie to zdobyło sobie uznanie w sferach rosyjskich i walczo no niem, ilekroć Dramiński w mniej lub więcej drastycznej formie przekonania swe kolegom-sędziom wygłaszał.

Bywałem niekiedy u niego przy ulicy Aleksandra w domu „pod Matką Boską,” gdzie skromne mieszkanie zajmował.

W rozmowach biadał nad upadkiem sił narodu i nad systematycznym zatrutowaniem społeczeństwa przez rządy rosyjskie. Ten „ból bólów” nie opuszczał go aż do śmierci.

Gdym był u niego raz ostatni, zastałem go w łóżku.

— Widzisz — rzekł — umieram i nie doczekam chwili, kiedy ojczyzna obudzi się do życia... Wy, młodzi, trzymajcie się mocno i walczcie z Moskałem. Żadnych z nim paktów, bo to zła, krwiożercza dzicz i zepsuta do szpiku kości...

W parę dni później dowiedziałem się, że ś. p. Dramiński, zamknął na zawsze znużone powieki.

II.

Przy takim składzie osobistym, sądzenie spraw w drugim wydziale karnym było co najmniej dziwne... Nieraz mimo woli przychodziły na pamięć słowa poety: „Będąc sędzią, byłeś katem.” System inkwizycyjny zniesiono, ale zdawało się często, że torturowano teksty prawa, by tym sposobem mózgi torturować podsądnych: Polaków i żydów.

Wspomniałem już, jakiej sprawiedliwości oczekiwać mogli żydzi w wydziale drugim. Przebąkiwano, że żyd wtedy tylko mógł z sądu wyjść bez szwanku, gdy kieszeń swoją na szwank naraził. Z uwagi, że Timanowski zawsze nastrojony był *amoroso*, a Polaków pensję całą w kieliszku topił, rzecz nieprawdopodobną nie była. W dodatku w owym właśnie czasie ukazał się na horyzoncie nowy „mecenas.” Był nim dymisjonowany sędzia śledczy, który na posadzie inkwizenta nie robił żadnych ceremonji, brał łapówki tak otwarcie, że wreszcie przebrała się miara. W innych warunkach taki funkcjonariusz, przekonany lub choćby tylko posądzony o sprawki nieczyste, czułby się szczęśliwym, gdyby uniknął ławy oskarżo-

nych. Ale w Polsce, pod panowaniem rosyjskiem, taki i wielu jemu podobnych „prokrawszychsia” urzędników, otrzymywał bez żadnych trudności nominację na adwokata przysięgłego i wstępował do korporacji, której zadaniem jest stać na straży prawa i bronić uciśnionych. Jak mógł wyglądać zawód obrończy, do którego ławą wstępowali tacy panowie bez czci i wiary, dla których celem jedynym była chęć życia i użycia, jaka opinja wytwarzała się w społeczeństwie o adwokaturze, mającej wśród siebie takie wrzody moralne — o tem wartoby pomówić obszerniej.

W tem miejscu zaznaczę, że „obrońca” ów, przyjaciel od serca p. Timanowskiego, stawał się coraz częstszym gościem w drugim wydziale karnym, a klienci, w których imieniu głos zabierał, składali się przeważnie z rozmaitych wyznawców starego zakonu. Przeważali oni odrazu pismo nosem... I o dziwo! adwokat umiał przekonać, potrafił nawet pragnienie Polakowa ugasić i apetyt żydożerczy Grünwalda zaspokoić — bez ludzkich ofiar. Maszyna działała z precyzją. Korbą doskonale nasmarowaną kręcił „mecenas,” a żyd czarny, jak samo piekło, wedle aktu oskarżenia, wychodził z trybów kryminalnych czysty, jak iza, niewinny, jak baranek.

Nierównie gorzej było, gdy pod zarzutem stawał ktoś, zajmujący stanowisko w sferach społecznych, czy ze względu na zasługi osobiste, czy na nazwisko szanowane i tytuł. Ława oskarżonych stawała się wówczas ławą potępienczą. W tych rzadkich zresztą wypadkach Timanowscy i Grünwaldowie nie dawali wyrwać sobie ofiary. Było to dla nich święto prawdziwe, gdy przez wyrok swój

powiedzieć mogli ogółowi polskiemu: patrzcie, co warci ludzie, których na świeczniku stawiacie...

Nie mogę wspomnieć bez zgrozy sprawy p. X., obywatela z nieszawskiego, którego skazano za podpalenie bez cienia dowodów winy. Z jakąż rozkoszą podpisywano kiedyindziej wyrok, uznający hr. N. za złodzieja, gdy jakaś tancerka kabaretowa najlichszego gatunku oskarżyła go o kradzież stu rubli.

Były to istne mordy sądowe. Na szczęście tak w jednym jak i w drugim wypadku i w wielu podobnych — instancja apelacyjna uniewinniła oskarżonych.

Ale że tam komuś serce pęknąć mogło z bólu, że rujnowano spokój domowy i byt niejednej rodziny, to sędziów nie tylko nie wzruszało, ale, przeciwnie, łyzy podniecały, w mękę wpatrywano się z lubością.

Kiedy wina nie ulegała wątpliwości i szło tylko o wymiar kary, najsurowsza represja dotykała zawsze Polaków. Przeciwnie, gdy Rosjanin oskarżony był o rabunek, o sprzeniewierzenie, fałsz w dokumencie urzędowym i t. p., uniewinniano go lub w najgorszym dla delikwenta wypadku, skazywano go na drobną stosunkową karę.

Tej samej praktyki trzymał się stale i Dramiński. Wychodził on z założenia, że Moskala, który jest wilkiem w ludzkiej skórze, ani poprawić, ani natury jego zmienić nie można. Polakowi zaś nie wolno być złodziejem, ani zabójcą. A gdy taki zarażony duchem moskiewskim znajduje się w społeczeństwie, najsurowiej ukarać go trzeba i wyrzucić z łona narodu, który nie znosi łupieztwa i mordów.

Inne stosunki panowały w pierwszym wydziale karnym, któremu przewodniczył p. Kapher. Żaden prawnik, traktował on urząd swój sędziowski jako zło konieczne. Bo z powołania i zamiłowania artysta, interesował się tylko grą na skrzypcach i był podobno dyrektorem instytutu muzycznego. Sądził, jak Bóg dał: byle prędzej, byle nie spóźnić się na próbę, przedstawienie, czy popis. W głowie jego Muzy zdetronizowały Temidę i one, grające i tańczące, wyroki ferowały. Ale z polityką nie miał on nic wspólnego i obcy był wszelkiej nienawiści. Nerwowy i opryskliwy, krzyczał Kapher na wszystkich, bez różnicy stanu i wyznania. Wystarczało jednakże słowo mitygujące lub ton ostrzejszy odpowiedzi, ażeby stropić p. prezesa i osadzić go na miejscu. Pomimo warjackich trochę pozorów, był to człowiek dobry, który nikomu — świadomie przynajmniej — krzywdy nie wyrządził.

W wydziale pierwszym urząd sędziego pełnił też ś. p. Moldenhawer, którego nazwisko było dla całego sądu symbolem sprawiedliwości, częstokroć może zbyt twardej, nie zawsze liczącej się z warunkami życia, ale opartej na głębokiej znajomości prawa i odpowiedzialności wobec sumienia własnego i wobec potrzeb ogółu. Gdy rozmaite miernoty i nieuki dla tego tylko, że prawosławne, zajmowały coraz wyższe szczeble drabiny urzędniczej, Moldenhawer jako Polak i katolik, awansu nie otrzymał i zmarł na stanowisku sędziego pierwszej instancji.

Charakterem prawnym, obejściem ujmującym i sympatyczną powierzchownością, odznaczał się starszek, sędzia Łukomski. Stał on na uboczu od wszystkich, a z kolegami, szczególniejsz Rosjanami, utrzy-

mywał tylko stosunki urzędniczo-ceremonjalne. Bo w duszy jego rozgrywała się wieczna tragedia. Pochodził z unitów. Czy ojciec jego już był nawrócony, czy on sam za młodu dał się „przyłączyć” do cerkwi prawosławnej — nie wiem, ale każdy, kto zbliżył się do niego, czuł, że człowiekowi temu żal duszę przeżera. Wkrótce, po sprawie Bartenjewa, w której był referentem, opuścił sąd. Od tego czasu nie widziałem go więcej.

III.

W owym czasie przeszedłem ciężki bardzo chrzest ogniowy w walkach obrończych.

Zdarzyło się raz pewnego na sesji wyjazdowej we Włocławku, że wyznaczony z urzędu do obrony oskarżonych adwokat przysięgły, zachorował, a traf chciał, że z pośród prawników miejscowych nie było nikogo, kto mógłby go zastąpić. Prezydujący mnie polecił bronić podsądnych.

Stawałem już poprzednio w sprawach drobnych, ale w danym wypadku gra była zbyt gruba, a umiejętność moja zawodowa bardzo niewielka. Dwaj bracia Rutkowscy stawali pod zarzutem zbrodni ojcobójstwa, a olbrzymi materiał śledczy, zawarty był w paru grubych tomach.

Oświadczyłem prezesowi, że nie czuję się zdolnym do podjęcia zadania, ale natrafiłem na opór nieugięty.

— Sprawy nie odłożę — rzekł mi w końcu — bo jest więzienna. Przywołam ją ostatnią, ma pan więc przyuajmniej trzy godziny czasu do rozejrzenia się w papierach.

Czy więc podsądni mieć będą obronę należyłą, czy sąd sprawę osądzi dobrze, mniejsza o to; mniejsza o los dwóch ludzi, rzecz główna — to statystyka, to „zapchnięcie” jednego numeru więziennego. Zasadę tę w sądach rosyjskich stosowano stale i ciągle.

Naturalnie, że o przestudjowaniu sprawy w ciągu paru godzin nie mogło być mowy, a przytem rozgorączkowany, niespokojny, nie miałem dość zimnej krwi, by rozejrzeć się w sytuacji dokładnie.

Sprawa ciągnęła się długo, a obfitowała w momenty wysoce dramatyczne. Matka rodzona potępiała synów z całą energją i uporem wieśniaczki, przekonanej o ich winie. Straszna, wstrząsająca była chwila, gdy oblana krwawymi promieniami zachodzącego słońca, zawołała wskazując na ławę oskarżonych:

— Oni ojca rodzonego zamordowali!

Siostry natomiast wydały o braciach świadectwo najpochlebniejsze. Okoliczności czynu pokrywała mgła tajemnicy, a motywu zbrodni nikt wyraźnie wskazać nie zdołał.

W tych warunkach improwizowana mowa młodego, niedoświadczonego obrońcy nie mogła stanąć na wysokości zadania. Wyrok, ogłoszony późnym wieczorem, uznał winę Rutkowskich i skazał ich na wieczną katorgę.

Byłem rozbity nerwowo i z sumieniem rady dać nie mogłem. Bo po sprawie i wyroku myśl rozpełniona uspokoić się nie dała...

— A widzisz — szeptała z goryczą złośliwą — zapomniałeś o tem, a tamto przedstawiłeś jak najgorzej, gadałeś o drobiazgach, a rzeczy najważniejszej

nie dotknąłeś... Z tak olbrzymiego i wdzięcznego materiału nie porządnego ulepić nie mogłeś... Gdyby na twojem miejscu przemawiał kto inny, zdolny i rozumny, wyrok wypadłby inaczej...

I tak podczas nocy bezsennej zmagalem się z sobą samym, a fantazja rozbijała stawiała przed oczy wizje ludzi niewinnych, gnanych pod batogami w lodowce Sybiru...

Nazajutrz sędzia Dramiński rzekł do mnie:

— Pozostałem w sprawie Rutkowskich przy „votum separatum.” Przekonałeś mnie, że są oni niewinni. Apeluj i przekonaj izbę sądową.

Pocziwe te słowa zbudziły mnie z odrętwienia. Porobiłem notatki dokładne, a po powrocie do Warszawy odbyłem konferencję ze znanymi prawnikami i opracowałem długą, może nawet zbyt długą skargę apelacyjną. Żądałem też dodania drugiego obrońcy z urzędu.

Termin rozprawy przypadł latem, podczas kanikuly sierpniowej. Do dziś nie mogą mi wyjść z pamięci twarze sędziów, ich kitle płócienne, groza jakaś wyglądająca z każdego kąta sali, w której przez lat wiele mówiono bezustannie o zbrodniach, krwi i łzach. Szczegół najdrobniejszy tego tragicznego posiedzenia wyryl mi się w mózgu... Tyle spraw, tyle wrażeń i klęsk tyle, przesliznęło się często bez śladu, a procesu tego zapomnieć nie zdołałem.

A przecież wszystko było pozornie na najlepszej drodze. Po przychylnem dla obrony zreferowaniu sprawy przez przewodniczącego Łopuchina, któremu asystowali: sędzia Fiodorow i jakiś z innego departamentu dobrany, zabrał głos ś. p. Pomianowski, ostatni podprokurator, Polak, przy izbie sądowej. W dłu-

giem przemówieniu poddał on druzgocącej krytyce motywy sądu okręgowego, a następnie wskazując na brak dostatecznych dowodów winy, zrzekł się oskarżenia i w konkluzji żądał uniewinnienia podsądnych.

Wyznaczony dodatkowo z urzędu adwokat K. i ja, ograniczyliśmy przemówienia swe do minimum, bo i na co popisywać się krasomówstwem, gdy sam urząd publiczny wnosi o uchylenie wyroku skazującego, a sędzia-referent daje aż nadto do zrozumienia, że jest za uniewinnieniem.

Czekaliśmy więc pełni otuchy na ogłoszenie wyroku. Ale narada trwała długo, bardzo długo... może dla tego, że sekretarz naczelnego prezesa dziwnie zaaferowany przebiegał kilkakrotnie przez korytarz, wiodący do sali obrad, może dlatego, że jacyś dygnitarze sądowi wchodzili i wychodzili bezustannie.

Nareszcie, po wielogodzinnem oczekiwaniu. Łopuchin, błądliwy i zmieniony, odczytał rezolucję, zatwierdzającą wyrok sądu okręgowego. Rutkowskich wykreślono ostatecznie z listy żyjących. Niewielką mogło być dla nich pociechą, że dwaj Polacy, biorący udział w procesie — Dramiński i Pomianowski — jako też Łopuchin, oświadczyli się za uniewinnieniem oskarżonych.

A nazajutrz stało się wiadomem, że prezes drugiego departamentu karnego, Łopuchin otrzymał dymisję, spowodowaną zatargiem na tle familijnem. Z pierwszą żoną, mającą duże stosunki w Petersburgu, rozwiódł się wbrew zakazowi Synodu i zawarł nowe śluby małżeńskie z jakąś Bułgarką. Dzięki intrygom odepchniętej żony, Łopuchina wyrzucon^o z posady.

W parę dni później opowiadał mi jeden ze starszych i najpoważniejszych adwokatów, że wyrok uniewinniający w sprawie Rutkowskich nie ulegał wątpliwości, gdy w sali narad zawiadomiono Łopuchina o niełasce, w którą popadł. A wówczas, zgodnie z zasadą, której hołdują pewne dusze, iż kopać powalonego jest pierwszym obowiązkiem „blagonadziejnego,” dwaj sędziowie oświadczyli, iż zmieniają zdanie i wymagają skazania podsądnych.

Takimi oto drogami chadzała sprawiedliwość rosyjska i takich miała kapłanów.

Nie wiem, czy Rutkowscy winni byli, czy niewinni zarzuconej im zbrodni, ale to pewna, że w warunkach normalnych żaden sąd uczciwy nie byłby ich skazał.

Wszystko na com patrzył podczas urzędowania w wydziałach karnych, przekonywało, że złem potężnym, klęską okropną dla społeczeństwa było wprowadzenie języka rosyjskiego do sądownictwa.

Dawno już powiedziano: *tradutore — traditore*. Mógł się w ten sposób mścić na tłumaczu - zdrajcy autor, którego myśl i sentyment nie należycie w obca szatę językową przystrojono, mógł być niezadowolony czytelnik, że tłumacz nawet utalentowany, a w ciszy i skupieniu pracujący, nie odtworzył ducha oryginału, ale cóż ważą te grzeszki artystyczne i estetyczne wobec grzechów popełnianych codziennie na posiedzeniach sądowych i dla których niemasz odkupienia?

Bo gdzież jest taki tłumacz, który z migawkową szybkością a stereotypową dokładnością mógłby objawy życia przedstawić sędziemu i dać mu w języ-

ku obcym możność odczucia rzeczywistości?... Do czynności takiej potrzebaby specjalnego uzdolnienia, znajomości gruntownej obu języków i długoletniego doświadczenia. W sądzie mieliśmy tłumaczy z pośród kandydatów, a nieraz i z kancelistów dobranych, nie rozumiejących częstokroć zwrotów i wyrażeń chłopskich, a wskutek uprawianej stale dwujęzyczności, kaleczących oba języki.

Na tem tle zdarzały się epizody wielce zabawne, a nieraz bolesne i tragiczne.

Przewodniczący powiada:

— Skażycie świadki, czy ona pokazała, czy znajet.

A tłumacz zwraca się do tęgiej babiny z przedmieścia ze słowami:

— Niech pani pokaże, co pani wie, — a w odpowiedzi usłyszał nie zbyt pochlebny epitet.

Innym razem, zdenerwowany nieudolnością tłumacza, sędzia coś nie coś rozumiejący po polsku, postanawia sam badać świadka — sołtysa, piąte przez dziesiąte rozumiejącego po rosyjsku.

Sołtys opowiada o jakiejś bardzo ważnej okoliczności, a gdy skończył, sędzia, chcąc zeznanie to umocnić, powiada:

— Wy eto wsio zapomnili...

A świadek oburzony przerywa: „ja nie zapomniał!”

Przewodniczącego gniew porywa.

— Kakże ty opowiadasz, jeżeli nie zapomniał?

I na ten temat wszczyna się dyskusja, którą rozcina dopiero ktoś trzeci, tłumacząc, że rosyjskie „zapomnit” (zapamiętać) co innego znaczy, niż polskie „zapomnieć.”

Powszechne były też skargi, włościan przeważnie, że zeznania ich mylnie w aktach zapisano, bo „śledziowaty” (sędzia śledczy, po rosyjsku „śledowatiel”) ich nie rozumiał, a oni też jego wyrozumieć nie mogli. Masy pomyłek, opartych na nieporozumieniu językowym, których ofiarą padali ludzie niewinni, któż zliczyć zdoła?

Czyż mogło być inaczej? Jak ksiądz słuchający spowiedzi, tak i sędzia, badający życie obwinionego, musi znać jego język. Przez tłumacza nie pozna on nigdy moralnych pobudek czynu, nie zajrzy w duszę oskarżonego, która nieraz w jednym wyrazie, w tonie wymówionym odbija się w zupełności.

Odjąć nam mowę ojczystą, przeszkodzić, ażeby ludność w sprawach, dotyczących mienia, czci, wolności, a nieraz i życia, posługiwała się językiem polskim — było jednym z zamierzeń i celów polityki rosyjskiej. Wydieranie języka — to zresztą jeden z rysów charakterystycznych, jaki napotyka się na każdej niemal karcie dziejów tego wpół azjatyckiego państwa.

IV.

W ciągu praktyki mojej w wydziale kryminalnym otrzymałem delegację do Grójca, z początku w charakterze pomocnika sędziego śledczego, a następnie jako samodzielnego inkwidenta.

Dziwne są naprawdę te umysły i pomysły tataro-bizantyńskie. We wszystkich krajach cywilizowanych stanowisko sędziego śledczego uważane jest jako jedno z najważniejszych w ustroju sądowym, a we Francji np. nominacji na urząd ten nie otrzyma nikt, kto nie był uprzednio sędzią trybunału i nie zapoznał się dokładnie z biegiem spraw nie tylko karnych, lecz i cywilnych.

Nawet radcowie sądu apelacyjnego uważają sobie za awans, gdy w charakterze *juge d'instruction* w Paryżu otrzymują polecenie tropienia zbrodni i zapobiegania przestępstwom. Bo należyte przeprowadzenie śledztwa, będącego podwaliną całego dalszego postępowania, wymaga nie tylko gruntownej znajomości prawa i życia, lecz i szybkiego zorientowania się w sytuacji i powzięcia trafnej a szybkiej decyzji — zalet, które nabyć można tylko przez pracę i doświadczenie.



W Rosji inaczej. Tam urząd sędziego śledczego jest pierwszym szczeblem kariery urzędniczej. Młody, świeżo a źle upieczony prawnik, co wczoraj dopiero opuścił ławę uniwersytecką, dzisiaj dokonywać zaczyna eksperymentów na ludziach żywych. Staje się on zwyczajnym służką policji, a raporty, otrzymywane od strażników, często przedajnych, a zawsze prawie mało piśmiennych, obleka w formy, wymagane przez ustawę postępowania karnego. I na tem wertowaniu dostarczanych papierów rola jego się kończy. O jakiejś inicjatywie własnej, o myśli twórczej mowy niema.

Pomijając inne czynniki, które dążyły systematycznie do zatrucia ducha narodowego, wzrost przestępstw po wsiach i miasteczkach, a głównie brak poszanowania cudzej własności, rozwielenienie się w ostatnich czasach bandytyzmu, przypisać należy brakowi sprężystej organizacji śledczej.

W Grójcu obowiązki sędziego śledczego pełnił p. K., Polak, który ze względu na wyznanie i narodowość o żadnym awansie nie myślał. Urzędnik sumienny, człowiek uczciwy, ceniony i lubiany powszechnie, liczył, że w tem miasteczku powiatowem na zawsze pozostanie. Pomylił się, niestety.

W tym właśnie czasie, gdym aplikował przy nim, spotkało p. K. nieszczęście, najmniej oczekiwane, a charakteryzujące stosunki służbowe pod rządem rosyjskim.

W areszcie grójeckim osadzono czterech schwytanych opryszków, będących postrachem okolicy, a sędzia rozesłał awizacje poszkodowanym i świadkom w liczbie kilkudziesięciu osób, wzywając ich do konfrontacji z oskarżonymi na dzień oznaczony. Tym-

czasem na dwa dni przed terminem, odbieramy polecenie gubernatora warszawskiego, ażeby aresztowanych dostawić natychmiast do więzienia w Warszawie. P. K. uznając, że niepodobna odrywać od zajęć kilkadziesiąt osób, które wezwania już otrzymały, że gubernator nic na tem nie straci, gdy ujrzy oskarżonych o parę dni później, odpisuje, że wymagania śledztwa nie pozwalają mu wypełnić natychmiast ządania Jego Ekscelencji i że opryszków wyśle dopiero po konfrontacji.

Jawne to nieposłuszeństwo rozporządzeniom gubernatora wywołało skutki straszliwe. Z odezwą sędziego śledczego, jako namacalnym dowodem winy, udał się obrażony dostojnik do prokuratora izby sądowej, domagając się satysfakcji, a po dniach kilku zjechał do Grójca delegowany ad hoc prokurator, który i akta śledcze i biednego sędziego odwiózł do Warszawy. Tu kazano p. K. podać się natychmiast do dymisji i dopiero po pewnym czasie i to dzięki usilnym staraniom, udało mu się dostać posadę inkwidenta gdzieś za Uralem.

Gdyby p. K. był prawosławnym, postępek jego nazwanoby należytem odparciem zakusów administracji wtrącania się do spraw sądowych, że zaś był Polakiem i katolikiem — złożono go z urzędu.

Dwa miesiące jeszcze przebyłem w Grójcu sam, bez jakiegobądź pomocy, walcząc z trudnościami. Badałem świadków, dokonywałem oględzin, wydawałem decyzje, ale wszystkie te mechaniczne prawie czynności nie dawały zadowolenia. Gdy wreszcie jakiś zamężny handlarz żydek, oskarżony przez ojca i matkę o zadanie im ran, dostał w areszcie ataku apoplektycznego, obmierzło mi wszystko. Na szczęście ter-

min delegacji mojej skończył się i powróciłem do Warszawy.

Dość miałem kryminalów i podjąłem starania o przejście do wydziałów cywilnych i hipoteki.

Nie tak to łatwe było zadanie jakby się z pozoru zdawać mogło. Sądownicy rosyjscy, do Polski przybyli, o prawie cywilnem wogóle pojęcia wielkiego nie mieli, a kodeks u nas obowiązujący i hipoteka były dla nich księgami, na których pieczęć tajemnicy zawisła. Czuli się oni obco, nie swojo, wśród paragrafów, cytowanych przez strony i adwokatów, a oprócz tego, nie mieli możności popisywać się władzą i „pompa” uroczystą, w której tak lubują się czyrownicy wszelkich dykasterji. Dla tego też w większości znacznej Rosjanie garnęli się do wydziałów karnych, do cywilnych zaś wstępowali z musu.

Przy takim usposobieniu wydziały cywilne zaniedbywano, a Benjaminkiem, nad którym nie ustawiano w pieczy — były kryminaly.

I dla tego, gdym zwrócił się do prezesa sądu okręgowego z prośbą o przeniesienie mnie do hipoteki, usłyszałem odpowiedź:

— A czegoż się tam nauczyć można?... Zre-sztą Pan potrzebny w śledztwie.

Prezesem sądu okręgowego był wówczas Iwanow, typ dość pospolity rosyjskiego „wielmoży.” — Również dobrze i z takim samym skutkiem jak prezesem sądu mógł on być naczelnikiem akcyzy, zarządzającym stadniną państwową, czy generałem. Do książki prawnej nie zajrzał chyba od czasu egzaminu w instytucie „prawowiedow,” gdzie zawiązał liczne a wpływowe stosunki. Mawiał też, że z mini-

strem jest na „ty” i może w razie czego zwymyślać go bezkarnie.

Zamiast znajomości prawa posiadał on tak zwany chłopski rozum, nie pozbawiony częstokroć dowcipu i pewnej dozy złośliwości. Z chwilą objęcia urzędu, dowodzenia, wezwał do gabinetu swego komorników czynnych w sądzie, i kazał wszystkim wnieść natychmiast podania — o dymisję. W panów „komisarzy” jakby grom uderzył, a kiedy jeden — śmielszej natury — zapytał o powód takiej niełaski gremialnej, Iwanow, ubawiony efektem jaki wywołał, rzekł najspokojniej:

— Wszystkie podania panów o dymisję będą leżały u mnie „pod suknem.” Gdybym się przekonał, że który z was sprawuje się nie należycie, to zamiast postępowania dyscyplinarnego, wyjmę z szuflady podanie i naturalnie proście o dymisję nie odmówię... Idzie mi o to, ażebyście pod grozą stracenia posady, nie dopuszczali się nadużyć... Żegnam panów!...

Dodać trzeba, że przez cały czas urzędowania Iwanow podań tych z „pod sukna” nie wydobył. Był to wogóle człowiek dobry, krzywdy nie wyrządził nikomu, a niejednemu rękę pomocną podał. Nie uprawiając polityki, nie miał też zakusów polakożerczych, ale natomiast sąd uważał za prywatną swoją własność i gotów był mówić: „Le tribunal c'est moi.” Zazdrosny o władzę, nie znosił nikogo, kto hierarchicznie wyżej stał od niego, i bezustanne walki toczył to z naczelnym prezesem, to z prokuratorem izby sądowej, osławionym Turauem, którego znieść nie mógł.

W rok później, gdy na skutek sprawy o podłożu politycznym, w której występowałem jako obroń-

ca, minister sprawiedliwości Manassein, odebrał mi prawo stawania w sądach i gdy następnie, wskutek interwencji różnych osób, zażądał opinji o mnie od prokuratora, Iwanow wezwał mnie i polecił, abym poszedł do Turaua, lecz radził ostrożność.

— Bo, widzi pan — rzekł — to taki psubrat (w oryginale „sukin syn”), który nawet przez pomyłkę nic dobrego o nikim nie powie.

Około roku 1890 Iwanow otrzymał nominację na prezesa naczelnego izby sądowej w Saratowie, a po kilku latach zmarł jako senator.

Znając usposobienie prezesa, po tygodniu nowy szturm przypuściłem i uzyskałem wreszcie możliwość aplikowania w wydziałach hypotecznych.

V.

Jeżeli z czasów mej aplikacji w sądzie okręgowym mam jakieś wspomnienia, które ze czcią w sercu przechowuję, to zawdzięczam je pracy w wydziałach hipotecznych. Przejście od „kryminalów” do hipoteki, gdzie ani jeden moskał nie brał udziału w sądeniu, gdzie rozmowy, rozprawy, narady odbywały się wyłącznie po polsku, było czemś niezwykle, nieprawdopodobnem, olśniewajacem prosto. W przestronnych a jasnych salach, w których dotąd obowiązki swe pełniłem, jakiś duch gnębielski skrzydła swe roztaczał, a nastrój dziwnie ponury myśl i serce przygniatał. Tutaj, w pokojach na wpół ciemnych, niskich, zawałonych stołami i stołkami, księgami i dokumentami, wśród których nieraz precyzyjnie się było trudno, pracowało się bez przymusu w otoczeniu przyjaznem ludzi życzliwych, pracowników rutynowanych, a nieraz znakomitych. Choć powietrze przesycone było zapachem starych pergaminów i dymu tytoniowego, lżej się tu oddychało, więcej uczyło, goręcej czuło.

Inne wydziały tegoż sądu, gdzie władali niepodzielnie Timanowscy i Grünwaldowie, były gdzieś

bardzo daleko i faktycznie nie ich z hypoteką, nie łączyło. Rzadko też, bardzo rzadko zaglądał do nas prezes, jakby gość z innego świata i po paruminutowej rozmowie z sędziami, opuszczał te izdebki, w których i on czuł się nieswojo i gdzie przybyciem swoim sprawiał na wszystkich wrażenie niemiłe. Po każdej takiej wizycie sędziom rozjaśniały się twarze jakby po przebyciu niemiłej operacji. Nie dziw, wszak żaden z nich nie władał dostatecznie językiem urzędowym, by z **Ekscelencją** rozmówić się swobodnie.

Natomiast każde odwiedziny weteranów zeszlęj z pola, a przezacnej palestry polskiej były dla pracowników wydziału świętem prawdziwym.

Zawsze żywy, zaafierowany, śpieszący się wiecznie. Wincenty Majewski, nie opuścił nigdy kancelarji bez dowcipu, dykteryjki lub wspomnienia z czasów powstaniowych, w których *pars magna fuit*.

Ciężko a powoli wkraczał na salę Zygmunt Krysiński, którego uznawali wszyscy za najlepszego znawcę prawa cywilnego, i od progu już wołał, jaki sprowadza go interes.

Dość częstym gościem bywał też Henryk Krajewski, minister spraw zagranicznych za czasów Traugutta, poważny, zamyślony, senior i przywódca moralny adwokatury polskiej.

Chociaż zaliczono mnie do wydziału miejskiego, pracowałem jednakże i w ziemskim. Zwierzchność hypoteczną stanowili wówczas sędziowie: Malinowski, Mazurkiewicz i Zawadzki, oraz pisarze: Aleksander Preiss i Zygmunt Wasiutyński. Oprócz tego bez charakteru oficjalnego urzędował też jako jeden z najczynniejszych, wszelkich arcanów hypotecznych światomy, na wół sparaliżowany, sędzia Łokcikowski.

Były to najświetniejsze bodaj czasy hypoteki polskiej za rządów rosyjskich.

Z natury rzeczy, jako aplikant, wertujący akta, wnioski i wykazy i przygotowujący projekty decyzji, mniej miałem styczności z generalicją wydziałów — sędziami. Nie znaczy to bynajmniej, ażeby sędziowie trzymali się na wyżynach, niedostępnych dla zwykłych śmiertelników, jakimi przedewszystkiem byli kandydaci do posad sądowych. Przeciwnie, drzwi stały do nich ustawicznie otworem, obejście zawsze uprzejme, a ze strony pp. Malinowskiego i Mazurkiewicza — serdeczne nawet; rady swej i uwag kompetentnych nie szczędzili nigdy.

Z sekretarjatem zaś stosunek był ciągły, stały i bezpośredni.

Względy łatwo zrozumiałe krępują mnie do ocenienia na tem miejscu działalności p. Zygmunta Wasiułyńskiego, dla którego tyleż poważania co i wdzięczności czuję.

Chciałbym natomiast młodemu pokoleniu kolegów przypomnieć postać jednego z najzacniejszych ludzi, najzdolniejszych prawników i najlepszego niewątpliwie znawcy ustaw hypotecznych, jakim był świętej a niezapomnianej pamięci, Aleksander Preis.

Niewielkiego wzrostu, dość tęgiej tuszy, ruchliwy ten staruszek pracował bez wytchnienia, nie szczędząc sił i czasu. Surowy dla siebie, pełen był wyrozumiałości dla wszystkich. Godłem życia jego była zasada, że niema tak ciężkiej sytuacji, w którejby Polak, poczuwający się do obowiązków względem kraju, nie mógł czegoś dobrego dla współbraci uczynić i maksymę tę konsekwentnie w czyn wprowadzał.

Miał on zasłużoną, a ustaloną sławę, że nie było kwestji z dziedziny prawa cywilnego i hipotecznego, którejby w lot nie uchwycił i nie wskazał rozwiązania, jedynie racjonalnego, najbardziej zgodnego z ustawą i sprawiedliwością. Całe szeregi wybitnych prawników ciągnęły w sprawach spornych do sędziego Preissa po rady i wskazówki. Nie odmówił on nigdy i nikomu pomocy, a choć zavalony własną codzienną pracą, śleczął nad źródłami, wertował komentatorów, dopóki nie wskazał należytego rozwiązania.

Przed wstąpieniem do uniwersytetu moskiewskiego, Preiss, w roku 1842 ukończył kursa prawne w Warszawie. Na udzielonym mu dyplomie widnieją podpisy Włentego Dutkiewicza i Ksawerego Józefowicza. Nie przypuszczali zapewne znakomci juryskonsulci, że dając stopień celujący dwudziestoletniemu słuchaczowi, wprowadzają w świat człowieka, który obejmie po nich i wiedzę olbrzymią i kierunek młodego pokolenia prawników.

Bo miejscem właściwem Preissa było nie skromne stanowisko pisarza hipotecznego, lecz katedra uniwersytecka. Wzdychał on do niej może po cichu, jak do innego tak dalekiego, a tak niedoścignionego. zdawało się w owe czasy, ideału, ale nad mistrzami swymi tę miał przewagę, że przy skromnem biurku wraz z teorią i praktykę wykładał i że słuchaczami jego byli tylko ci, którzy i wiedzy łaknęli i profesora sercem całym ukochali.

Otoczał się młodymi, by prostować pojęcia, tak często, niestety, w szkole rosyjskiej wykoszlawione, by wprowadzać umysły i serca na drogi prawdy i sprawiedliwości.

Skromny do przesady, zdania swego nie narzucał, a uwag i opinii, nawet mało dojrzałych, słuchał z dobrocią i uwagą. Nieraz przysłuchujących się niecierpliwiło, gdy zwracano się do niego w jakiejś blabej materji, a on, patrząc spokojnie z poza okularów i zażywając tabaki, co zwykle czynił w chwilach głębszego namysłu, nie niecierpliwił się, nie gniewał i gdy dopiero petent rzecz całą wyłożył, sędzia Aleksander przecierał okulary i w końcu dopiero przytaczał wyraźny tekst prawa, żadnych przecież wątpliwości nie wzbudzający.

Gdy jednakże sprawa była w istocie poważna, a szczególnie, gdy dotyczyła dobra ogólnego, starszek uważał za swój obowiązek zwrócić się przede wszystkim do sędziego Łokcikowskiego z prośbą o zdanie. Ten biedny rozbitek życiowy, pełen zawsze porywów idealnych, rzucał krzykliwe myśli i zdania płomienne, a Preiss metodycznie, rozważnie przerabiał je na użytek codzienny, na potrzeby ogółu, na pożytek ludzki. I tak ci dwaj starcy szanowni w granicach sił swoich i środków ratowali, co ratować się dało, i znosili cegielki pod budowę, jak owi robotnicy prości, którzy fundamenty kładą, nie wiedząc, jak wyglądać będzie całość gmachu. Wierzyli głęboko w miłosierdzie Boskie, w niespożyte siły narodu i w zmartwychwstanie Polski i to był ich katechizm duchowy.

Preiss zmarł na jesieni roku 1901. W lipcu tegoż roku widziałem go po raz ostatni z drugiej strony mostu, gdy wsparty o balustradę, wpatrywał się w zachodzące słońce.

— Patrz — rzekł do mnie — lat osiemdziesiąt żyję na świecie, a dotąd nie nasyciłem się jeszcze

tym widokiem. Dawniej wolałem wschód słońca, teraz chętniej spoglądam na zachód... Bo czas już na mnie... czas... Najdrożsi moi: Łokcikowski, Krajewski, Karpiński stanęli już przed Majestatem Bożym...

I widzę go jeszcze, jak powiedziawszy na pożegnanie słów parę serdecznych, zdąża powolnym krokiem, pochylony, ku domkowi swemu na Obożnej, gdzie do ostatniej chwili życia pracować będzie, jak dawniej, nad ulubionymi księgami.

* * *

Pozwólcie, że na tej przepięknej postaci zamknę ten rozdział wspomnień moich.



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 313507



000-313507-00-0

Tegoż autora:

**Jak napisać testament własno-
ręczny?**

**Adwokatura w Królestwie Pol-
skiem.**